Emilia Branecka-Ledwoń

Niunia

– Jakaś ty chudziutka!

Uśmiecham się wymijająco na ten szczelnie opakowany w troskę komplement. Nie da się nie dostrzec niedorzeczności sytuacji. Jedyną osobą, którą można nazwać chudziutką, jest w tej kuchni ona, o ile rzeczywiście gdzieś tam jest, pod warstwami polarów i kamizelek. Doskonale wiem, że wcale nie odczuwa szczególnej potrzeby dożywiania mnie. Ludzie dzielą się na karmiących i karmionych. Niunia z pewnością należy do tych drugich. Co innego jej matka. Jadwiga była jedną z owych miejskich herosek, którym należałyby się pomniki. Tych, które wstają o świcie, by lepić setki pierogów, kopytek czy pyz i zawozić je rodzinom zatłoczoną komunikacją, niczym sanitariuszki, łączniczki czasów pokoju. Niezłomne, z parującą przesyłką w słoikach, pojemnikach po lodach i foliowych torebkach. Miłość liczona w kaloriach. Troska wyrażona w węglowodanach. Subtelna mączna przemoc. Ciepły emocjonalny szantaż.

– Chudzinka! – powtarza Niunia, pozwalając przemówić matce.

– Kto tutaj jest chudziną? Czy ty w ogóle coś jesz? – Przejmuję obcą, choć płynącą również w moich żyłach narrację.

– Musowo!

– Mam na myśli coś poza drożdżówkami. Jadłaś dzisiaj obiad?

– Oczywiście. – Wymyka mi się. Drążyć byłoby nietaktem. Mam ją przepytywać, co zjadła na ten obiad, jak przedszkolaka? Pewnie coś tam skubnęła. Swoją dziecięcą porcję. Ćwierć kotleta i ziemniaczek, albo kanapeczki z ogórkiem i okrojoną skórką, niczym angielska królowa. Kiedyś, gdy przyszłam, odsmażała sobie na patelence jeden pierożek. Tę patelenkę wzięła chyba z kuchni dla lalek. Kulinarna dzidzia piernik. Je jak wróbelek. Jak wybredny, wkurzający wróbelek, który dziobie z talerza, jakby chciał, a nie mógł. Dlatego znika.

Wchodzę do dużego pokoju, ostrożnie, jak zwykle. Staję na błyszczącej, wyfroterowanej klepce niepewnie, jakbym stąpała po tafli lodu. Przez lata wyrobiłam sobie ten odruch. Zbyt zdecydowany krok – czyli niemal każdy – powoduje, że drewniany parkiet najpierw wydaje swoje charakterystyczne stęknięcia, potem jego ruch wywołuje falę budzącą stojący przy ścianie przeszklony kredens, mieszczący kolekcję porcelany, w tym pamiątkowe naczynia z pijalni wód oraz naparstek z papieżem. Następuje sekwencja dźwięków: trzask, skrzypnięcie, dzwonienie i buczący pogłos drżącej w drewnianej ramie szyby. Siadam na kozetce. W tym pokoju zawsze czuję się jak bestia, która przyszła do Belli na podwieczorek.

Niunia wchodzi z kuchni, niosąc tacę z herbatą. Klepki milczą. Kredens ani drgnie. Wytresowała sobie tę menażerię podrygujących imbryczków i pląsających filiżanek. Stają przed nią na baczność. Po prostu waży tyle, co nic – tłumaczę sobie – a może już jest

duchem? Niunią duchem. Dunią. Należy przecież do świata, którego dawno nie ma. Zamieszkuje dzieciństwo. Własne i moje. Równolegle. Ona nie przestała być córeczką Jadzi. Ja, przychodząc tutaj, wracam do czasów, kiedy w rubryce wiek przed dziewiątką nie było żadnej innej cyfry. Jesteśmy dwiema małymi dziewczynkami w pokoju tłumiącym gniew. Otoczone przez podłogę i ściany, które nie znoszą gwałtownych ruchów. Nie tupniesz, nie wierzgniesz. Jesteś w pułapce.

Pokój urządzony jest zgodnie ze stylem, który Internet nazwałby dzisiaj polskim mid-century modern, czyli wszystkim tym, co można było zdobyć w latach sześćdziesiątych, kiedy się tu sprowadzała. Dobrze zakonserwowane fotele Chierowskiego, podłużna ława, wersalka i wysoki połysk. Niewielka liczba książek jest pochwałą bibliotek. Na ścianie wiszą zdjęcia, które znam na pamięć. Z nudów przyglądałam się im w dzieciństwie. Na jednym mój tata w spodenkach z szelkami i zabawnych wełnianych pończochach. Na innym Niunia w młodości, z zamglonym spojrzeniem i porcelanową cerą. Kiedy byłam dzieckiem, myślałam, że jest blondynką. Wtedy zawsze farbowała włosy. W ogóle dopóki żyła Jadzia, nie zauważyłam, że Niunia jest do niej podobna. Teraz, kiedy rysy Niuni straciły miękkość, a włosy, na przekór metryce były nadal nie tylko gęste, lecz także w sporej części uparcie czarne, nie dało się już tego ukryć. Niemal każda kobieta staje się podobna do swojej matki, ale Niunię spotkało to wyjątkowo późno.

– Zjedz koniecznie – każdą jagodziankę starannie przekraja na pół małym nożykiem. – To od Czubaka. Tam mają najlepsze. Poprosiłam ekspedientkę, żeby dała najbardziej przyrumienione. „Wszystkie są takie same, psze pani" – cedzi, naśladując niesympatyczny ton sprzedawczyni. Nie znoszą jej chyba wszyscy pracownicy sklepów na Woli. Jest Miss Upierdliwości. Doprowadzającą do pasji, dociekliwą staruszką, której nie zraża brak uprzejmości. Kiedy dochodzi do jakiejkolwiek konfrontacji, przechodzi w tryb Jadzi – Powiedziałam jej, żeby się wypchała drobnym szkłem. – Przynajmniej w jej opowieściach tak to wygląda. Jadzia nigdy nie opuściła Niuni. Nawet kiedy w końcu umarła. Pozostała z nią i nadal jest jej tarczą przed światem. Zawsze poznaję, kiedy nas odwiedza.

Wracając ze spaceru, mijamy pod blokiem stałych bywalców.

– Cześć pijaki! – rzuca uzbrojona w Jadzię Niunia.

Jadzia była wobec Niuni nadopiekuńcza. Tamtego dnia, w czasie powstania, kiedy pierwszy raz próbowały się wydostać z piwnic przy Bonifraterskiej, na widok konających i ciał zasłaniała jej oczy.

– Niech pani tego nie robi – wołali – ktoś musi pamiętać.

Powstańcy nie dali im jednak wtedy wejść do kanału. Cywilów nie puszczają. Musiały czołgać się z powrotem.

– Nie pomalowałabyś mi paznokci? Ja już nic nie widzę.

Lakiery Niuni mają swoje lata. Rozgrzewam buteleczkę w dłoniach i rozcieńczam zawartość kroplą zmywacza. Obiecuję sobie, że kupię jej nowy. Odcienie są zgodne z etykietą brytyjskiego dworu. Same perłowe i łososiowe róże.

Niunia lubi królową Elżbietę. Skrycie lubi też Magdę Gessler. Myślę, że obie przypominają jej Jadzię. Każda na swój sposób.

– To już jest nudne, powiem ci. Te programy kulinarne. Po co tyle o tym jedzeniu? Pogłośnisz? Zaczyna się.

Zaradność Jadzi była legendarna. Dzięki niej przetrwały z Niunią całą okupację. Potrafiła zdobyć wszystko, tytoń na papierosy, które skręcała na sprzedaż, a nawet biały chleb. Chleb był ich narzędziem oporu. Mieszkały na czwartym piętrze, najwyższym. Bochenki rzucane z ich balkonu z odpowiednią siłą miały szansę przelecieć nad chodnikiem, ulicą i murem getta. Cała kamienica przynosiła im swoje. Niemcy za to regularnie ten ich balkon ostrzeliwali.

Widok ludzi umierających z głodu po drugiej stronie ulicy Niunia ma do dziś pod powiekami. Nawet Jadzia nie była w stanie jej przed nim uchronić. I ten rozdzierający lament jednego z biedaków – Chleba! Chleba! Niunia nigdy nie przestanie go słyszeć.

Kiedy na ich dom spadła bomba, Jadzia gotowała kaszę. Ratowanie tej kaszy to nasza zabawna rodzinna historia, opowiadana wiele razy przy różnych okazjach. Jedli ją potem z jednego garnka z dwoma powstańcami, sąsiadami i tym młodym facetem przemyconym wcześniej zza muru. Kaszę jaglaną z gruzem.

Gdy już wyszły z piwnicy, Niunia zobaczyła z zewnątrz swój pokój, pozbawiony połowy ścian. Było go widać jak wnętrze rozkrojonego bombą tortu.

Kiedy potem pędzili je do Pruszkowa, Jadwiga miała dylemat, czy uczesać czternastoletnią Niunię w dwa warkocze. Z jednej strony, podobno rozdzielają, ludzie mówią, że dzieci będą zabierać. Z drugiej, to nieprawda, że Niemcy nie gwałcą. Wszyscy gwałcą. Niunia nie pamięta, czy stanęło na warkoczach. W każdym razie na roboty wywieźli je razem. Myślę, że warkocze wygrały. Nie tylko w Pruszkowie.

– Muszę już iść, babciu.

Wychodząc z pokoju, próbuję zabrać ze stołu filiżankę i talerzyk. Niunia protestuje. Parkiet jęczy, kredens wydaje pomruk niezadowolenia.

Mewy

Nie jestem pewna, czy to się wydarzyło naprawdę, że karmiłyśmy te mewy z balkonu. Teraz wydaje się to sceną ze snu. Trzymałam cię na rękach, byłaś już dość ciężka, więc opierałam cię na biodrze. Obejmowałaś mnie nóżkami. Miałaś na sobie białą bluzeczkę i miękkie, czerwone spodenki na szelkach. Było już na nie zbyt ciepło, ale bardzo je lubiłaś. Tamten balkon zawsze strasznie się nagrzewał. Starałam się robić ci cień. Lewą ręką podtrzymywałam twoje plecy, a prawą rzucałam chleb ptakom. Mewy krążyły przed nami. Kiedy zaczynałyśmy rzucać, zaraz robiło się ich więcej. Ty też rzucałaś, niezdarnie, ale one podlatywały naprawdę blisko i wszystko łapały w locie. Było to tak oszałamiająco piękne, ten wielki wir pokrzykujących białych ptaków na tle idealnie niebieskiego nieba, i to, że byłyśmy z nimi w jakimś porozumieniu, tyle metrów nad ziemią. Tylko my i one. Śmiałaś się na głos i wierzgałaś z radości nóżkami, bardzo się bałam, że wypadniesz przez barierkę, więc przyciskałam cię do siebie, aż pociła mi się ręka.

Na Pradze-Południe było jakoś więcej przestrzeni, inna skala. Stąd te mewy. Tutaj im za ciasno. Mniej nieba. Rzadziej przylatują. Ale czasem się zdarza. Słyszę jak się kłębią, zbierają nad tym miejscem, na trawniku, przy parkingu Biedronki, gdzie ludzie wyrzucają resztki z obiadów. Wtedy do nich wychodzę i rozpytuję, czy cię nie widziały. Mówię im, że miałaś czerwone spodenki, ale to przecież było dwadzieścia lat temu, więc w sumie nie ma znaczenia.

Pamiętam, jak kilka miesięcy po porodzie przyglądałam się sobie w lustrze. Wydawało mi się, że od urodzenia ciebie zmieniłam się fizycznie nie do poznania. Schudłam, to fakt. Nagle wyczuwałam wszystkie swoje kości, jakby wewnętrzną kostuchę, upiora. Twarz, kiedyś pyzata, zrobiła mi się pociągła, uwidoczniły się kości policzkowe i nos. Moje rysy stały się nagle ostre. Mimo to byłam ładna, może nawet ładniejsza. Było tak, jakbyś ty, ten mały, początkowo przyrośnięty do mnie pęcherzyk, zabrała ze sobą wszystkie zaokrąglone linie, całą subtelność i miękkość potrzebne do wzbudzania spontanicznej czułości. Mnie pozostały linie łamane, krzywizny, kostropatość. Byłam niczym baba jaga tucząca w swej chatce apetyczne niewiniątko, świadoma, że ono ją wkrótce przechytrzy i porzuci.

Z rozrzewnieniem oglądałam na zdjęciach swoją twarz tamtą, poprzednią, pulchną, nabitą mięsem jak serdelek. Policzki pikowane dołeczkami. Z czasem ich miejsce zajęły kreski. Nawiasy zamiast kropek. Bruzdy na pamiątkę uśmiechów.

– Wyglądam jak stara squo – powiedziała żartem moja matka, kiedy jako dziecko po raz pierwszy zobaczyłam jej nagie piersi. Musiała być około trzydziestki, bo nie miałam wtedy więcej niż kilka lat. Przebierała się, a ja siedziałam obok na tapczanie. Od razu postanowiłam też zostać starą squo, jak dorosnę.

Stałam przed lustrem, oglądając swoje piersi, niedawno odwykłe od karmienia, kiedy ich kształt przypomniał mi tamtą sytuację. Teraz bardziej mi się podobały. Nadal były zaokrąglone od spodu, od wierzchu jednak pojawiła się delikatna wklęsłość, której linia kończyła się na sutku.

Patrzyłam sobie w oczy. Wydawały się bardziej wyblakłe. I głębiej osadzone w czaszce. Jakbym dostrzegła ukryte w cieniu spojrzenie naszych wspólnych przodkiń. Mętny wzrok niebieskookich babek. Patrzyły przeze mnie. Wyglądały na świat żywych, jak przez lufcik. Dostrzegałam oczy starości, która nie ujawniła się jeszcze. Czekała w ukryciu, wewnątrz mnie, przyczajona. Życie po życiu. Życie, co spogląda samo na siebie wstecz. Wciąż wraca i krąży nad zmienną materią wspomnień.

Czułam się wtedy bardzo samotna, choć nie tak, jak teraz. Wiesz, małe dziecko nie jest partnerem do rozmowy, można zwariować, tak całymi dniami w kawalerce z roczniakiem. Ile razy da się ustawiać pociąg z drewnianych klocków albo dawać pić lali. Nigdy na szczęście nie brakowało ci wyobraźni do zabaw.

Zawsze, gdy gotowałam obiad, sadzałam cię na kuchennym blacie. Zadziwiająca była czułość, jaką przy obieraniu ziemniaków okazywałaś tym najbardziej pomarszczonym, przegniłym, pełnym czarnych skaz. Bez obrzydzenia brałaś je w swoje malutkie, pulchne łapki. Kiedy odkładałam ziemniaka zepsutego tak, że nie było sensu go obierać, ty skrupulatnie wygrzebywałaś go z siatki z łupinami i podawałaś mi z powrotem, z największym namaszczeniem, jakbyś stawała w ten sposób w obronie wszystkich wykluczonych, całej brzydoty i nędzy świata. Kiedy dotykałaś uważnie zwiotczałej skóry, wkładałaś paluszek w poczerniałe otwory, jakbyś dotykała ran, wydawało mi się, że twoja spontaniczna litość jest w stanie w cudowny sposób uzdrowić stare warzywo. Ta litość była po prostu elementem niezaspokojonej dziecięcej ciekawości świata, gmeraniem w nim, dłubaniem, babraniem się.

Czasem, kiedy płakałam, sama czułam się jak taki przegniły ziemniak. Pakowałaś mi się na kolana i zadziwiona przypatrywałaś mojej twarzy z bardzo bliska, macałaś wilgotne, zaczerwienione policzki, powieki, dotykałaś tego płaczu. Byłaś jak umorusane zupką Dzieciątko Jezus. Ale ja z pewnością nie byłam Maryją. Raczej Łazarzem, którego nieustannie musiałaś wskrzeszać.

Lubiłaś spać w ciągu dnia. Powinnam była się cieszyć. Tyle nasłuchałam się wcześniej, jakie będą z tym problemy. Ale z tobą było inaczej. Sen zabierał mi dziecko na długie godziny. Niepokoiło mnie to. Przeczuwałam poważne zagrożenie. Widziałam wielką czerwoną flagę. Jakby sen był uzależniającą od pierwszego razu heroiną.

Czytałam, że uzależnienie od heroiny nader często bywa wynikiem traumy spowodowanej fizycznym lub emocjonalnym porzuceniem przez matkę. Bezwarunkowa miłość to twardy narkotyk. Odkąd płód zaczyna się w tobie rozwijać, stajesz się dilerem. Kiedy się urodzi, masz bezwarunkowo dawać ukojenie, poczucie bezpieczeństwa, utwierdzać dziecko w przekonaniu, że jest kimś nadzwyczajnym.

Miłość do ciebie była paraliżująca. Zalewała mózg jak tsunami. Uderzałam o tę ścianę, topiłam się, fala, cofając się, zabierała wszystko, co cenne, pozostawiała tylko zniszczenie i chaos. Nie miałam już odwrotu, żadnego wentylu bezpieczeństwa. Czułam, że nie mogę pozwolić sobie na chwilę słabości. Muszę kurczowo trzymać się życia. Musiałam sobie poradzić z nagłym lękiem o siebie. Nikt nie uczy w szkole rodzenia, że macierzyństwo to doświadczenie graniczne.

Wiem, że tylko tak się mówi, ale twój sen naprawdę był małą śmiercią. Nie było cię dla świata, wylogowywałaś się z uzgodnionej rzeczywistości. Twoją nieskończoną nicość chroniły grube mury, jakbyś skrywała się w twierdzy.

Mnie śpiącą mogło spłoszyć wszystko. Dowolny, najsubtelniejszy sygnał z zewnątrz. Ty spałaś jak zabita. Z rączkami odrzuconymi do tyłu, nad głowę. Zupełnie bez lęku. Tak mi się wydawało. Jednak potem właśnie tamtędy wślizgnął się w ciebie lęk, taki przez wielkie L. Jak wąż do raju.

Był czas, że nawet kłóciłyśmy się o to spanie. Czy wszystkie nastolatki tyle śpią? Potrafiłaś przespać całe miesiące. Przespałaś większość gimnazjum. Uciekałaś w ten sen. Wolałaś, żeby cię nie było. Rozumiałam to. Ale bolało. Twój sen był moim rywalem. Toczyłam z nim nierówną walkę. Byłam zbyt miękka. Dawałam za wygraną. Nie umiałam być matką w roli, żandarmem.

Matka to funkcja, stanowisko, czy tego chcemy, czy nie. Przychodzi moment, w którym to sobie uświadamiamy. Zwykle zaczyna się od niewinnego kłamstwa. Od zdemaskowania, zburzenia pozorów. Jakiegoś podrobionego podpisu, telefonu z autobusu, że niby jest się w domu, ucieczki z zajęć pozalekcyjnych, dodatkowego angielskiego. Jakiegoś małego krętactwa, które uświadamia matce, że psychiczna pępowina jakiś czas wcześniej pękła, że przegapiła, że już koniec sztamy, symbiozy, współuzależnienia.

Kiedy odebrałam od ciebie taki telefon, owszem zrobiło mi się przykro, ale przede wszystkim miałam *déjà vu*. Znów jako nastolatka zmyślałam matce, wiedząc, że nie wierzy. Znów wydawało się to krindżowe. Tym razem byłam jednak po drugiej stronie. To wcale nie pomogło. Nie zbliżało nas do siebie. Chociaż czułam twoje wrażliwe ego, twój wstyd i jednocześnie urażoną dumę, zrozumiałam, że ty nie wiesz, że ja to czuję. Nie dostrzegałaś mnie w środku. Byłam tylko matką. Przeglądałaś się we mnie jak w lustrze, i nie byłaś zadowolona z tego, co widzisz. To okazało się najbardziej bolesne. Gdyby tak dało się zatoczyć koło i wrócić do dzieciństwa po tym, jak już się było matką.

Jesteśmy uwięzione w tym wzorze DNA, łańcuszku, szlaczku, jednak nie zataczamy koła. Jesteśmy spiralą. Kręcimy się według tego samego wzoru, jednak powrotów nie ma.

Korowód matek-córek, córek-matek, starych i młodych squo w utrwalonym uścisku. Zatrzymanych i uwiecznionych w rytualnym, plemiennym tańcu, klinczu. Jakby zapaśników w miłosnej walce. Czas jest z tej perspektywy tylko złudzeniem.

To, córeczko, nie do przeskoczenia. Sprzeczność nie do pokonania. W tym krytycznym momencie pragnęłaś ode mnie niemożliwego. Chciałaś, żebym mocno cię trzymała, jednocześnie pozwalając odfrunąć.

Zresztą nieważne, pewnie nawet nie pamiętasz tej sytuacji, nie wiesz, o czym mówię. Nie przejmuj się. To drobiazg.

Oczywiście nic z tego nie było twoją winą. Nie wolno ci tak myśleć.

Zawsze musiałam być z tobą bardzo ostrożna. Wszystko, co powiedziałam, obracałaś bezwzględnie przeciwko sobie. Karałaś się w moim imieniu. Jeśli zdarzyło mi się unieść, podnieść głos, zdenerwować, kończyło się dramatem, jakimiś tabletkami ściskanymi w pięści albo ostrymi przedmiotami na twojej skórze.

Jeśli coś ukrywałaś, to po to, żeby mnie nie zmartwić. Ja też wolałam nie wiedzieć o pewnych rzeczach. Za bardzo przeżywałam, to fakt, chociaż udawałam, że wszystko w porządku.

Z ludźmi radziłaś sobie lepiej ode mnie. Z przyjaciółkami, które wbijają nóż w plecy. Otrzepywałaś się jakoś. Stawałaś na nogi. Okazałaś się twarda, ale i wyrozumiała, wielkoduszna. Ja do dziś nie wybaczyłam. Osoby, które cię zraniły, nie istnieją dla mnie. Nieważne, czy były tylko dziećmi i czy wyrosły na ludzi.

Największe zło to jednak inne matki. Nie wiedziałam, że dzieci mają w domach takie bagno. Nie mogę sobie wybaczyć, że ich macki zdołały dosięgnąć też ciebie.

Czasem wracają do mnie wszystkie te sytuacje, od których cię nie uchroniłam, takie jak jeżdżenie po szpitalach, bolesne, zawstydzające badania, i wszystko to niepotrzebnie. Potem po prostu dostałaś pierwszej miesiączki. Stąd te bóle w podbrzuszu. Ale kurwa żaden z mądrali w całej służbie zdrowia się kurwa nie domyślił. Ja pierdolę.

Uniosłam się, przepraszam. Natrętne myśli czasem przejmują nade mną kontrolę. Przeżywam różne sytuacje od nowa, obwiniam się. Widzisz, miałaś rację, to może było dla mnie zbyt wiele. Nienawidzę tego, że okazałam się taka krucha.

Wiesz, mam teraz karmnik dla ptaków na balkonie. Przezroczysty tak, że wszystko widać. Nie jest tu tak wysoko, jak w tamtym bloku, tylko drugie piętro, ale przylatują. Mam dla nich takie specjalne kule, kupuję im w zoologicznym. Wiesz, że ptakom wcale nie można dawać chleba? Wiesz, wiesz na pewno. Przylatują sikory modraszki, całymi chmarami, sroki. Gołębie gonię, bo brudzą. I nie znoszę tego gruchania rano, upierdliwe. Boję się, że założą gniazdo i co ja wtedy z tym zrobię. Wyrzucić będę musiała, a nie wolno ponoć.

Dla mew pewnie za wąsko. Boją się chyba tu wlecieć. Tylko na tamtym trawniku je widuję i to też rzadko. Myślę sobie, że może nad Bałtyk bym pojechała, do Sopotu, pogapić się na te mewy, pokarmić. Może która coś wie. Nie zaszkodzi przecież popytać.

Uff. Jakie szczęście, że to wszystko się wcale nie wydarzyło. Jak dobrze. Oddycham z ulgą, jak tylko mi się przypomni, że wszystko zmyśliłam, całe nasze życie, wszystkie te problemy.

Już zmierzcha, chcesz, opowiem ci historię. Tak, tę o dziewczynce, która mi się przyśniła.

Więc pewnego słonecznego, letniego dnia, mała dziewczynka ubrana w białą bluzeczkę i czerwone spodenki na szelkach rzucała z mamą chleb mewom. Mew było coraz więcej i więcej. Zbiły się w kołujące między blokami tornado. Podlatywały zupełnie blisko. Miały piękne, białe pióra i mocne dzioby. Te ptaki były mistrzami w chwytaniu w locie. Dziewczynka patrzyła urzeczona, zafascynowana. Nagle zapragnęła sama dołączyć do mew i odlecieć. Zaczęła się energicznie poruszać, sprawdzając, czy ma skrzydła. Wtedy mama usłyszała jej myśli. Zawołała do mew, a te ją zrozumiały. Podleciały bliżej. Ona zamachnęła się mocno i rzuciła im swoje dziecko. Jedna z mew złapała dziewczynkę. Dziewczynka usadowiła się na ptasim grzbiecie i odleciała ze stadem za horyzont, a jej mama długo jeszcze stała na balkonie, patrząc w tamtą stronę.

Rysunek – Marek Chaczyk